

Lepsze polskie fiołki w polu...

Gorączka edukacyjna, jaka opanowała Polskę po odzyskaniu wolności, ewidentnie wchodzi w nową fazę. Po początkowym zachłyśnięciu się liczbami, dotarło już do opinii publicznej, że kluczowy jest jednak poziom wykształcenia. Stąd liczne głosy o poprawę jakości naszych szkół i uniwersytetów.

Głosy te nasiliły się zwłaszcza po ogłoszeniu dalekich miejsc najlepszych polskich uczelni w kolejnych rankingach szanghajskich, co zostało przyjęte przez media niemal za klęskę narodową.

A ponieważ słychać także głosy wskazujące na stopniowe obniżanie się poziomu studiów na najlepszych polskich uczelniach (sam brałem w tym udział), trudno się dziwić, że w wielu głowach pojawiły się wątpliwości, czy studia w Polsce są w ogóle coś warte. Wątpliwości zostały wzmocnione ostatnio przez zdumiewającą decyzję Resortu Nauki i Szkolnictwa Wyższego o przeznaczeniu dość znacznej kwoty na stypendia zagraniczne, dla absolwentów studiów *licencjackich*, decyzję dającą fatalny sygnał młodym Polakom.

W tej sytuacji wielu zdolnych i ambitnych młodych ludzi zaczyna marzyć o studiach na uczelniach z pierwszej dziesiątki lub ewentualnie pierwszej setki rankingu, czyli za granicą. A rodzice, których na to stać, już odkładają pieniądze.

Na pierwszy rzut oka to świetny pomysł. Korzystniej przecież zdobywać wiedzę na lepszej uczelni niż na gorszej¹.

A jednak...

Jednak uważam, że to duża pomyłka, zwłaszcza w przypadku młodych ludzi wybitnie uzdolnionych. Przede wszystkim dlatego, że cały argument jest oparty na fałszywej ocenie sytuacji. Rzecz w tym, że – aż do magisterium – poziom nauczania na najlepszych polskich uniwersytetach absolutnie nie jest niższy niż na najlepszych uczelniach na świecie (a w wielu przypadkach nawet wyższy). Dowody są liczne, ale najważniejszy

(i rozstrzygający) jest ten, że nasi (bardzo dobrzy) absolwenci, po skończeniu studiów w Polsce, wyjeżdżają za granicę, konkurują z absolwentami najlepszych uczelni świata i świetnie dają sobie radę. Czyli nasze uczelnie przygotowują ich znakomicie. Nawet obniżenie poziomu, obserwowane przez ostatnie kilka lat, nie zmienia tego faktu.

Dlaczego więc – zapyta ktoś – tak niskie pozycje w rankingach? Odpowiedź jest prosta: rankingi (w szczególności ranking szanghajski) nie mierzą jakości kształcenia na poziomie podstawowym (czyli do magisterium), tylko na poziomie wyższym, czyli doktoratu. I tu faktycznie przegrywamy (choć istnieją, oczywiście, nieliczne wyjątki). Przyczyn jest wiele, ich opis przekracza ramy tego tekstu (być może kiedyś do tego wrócę).

Powtórzę więc: Na poziomie podstawowym (licencjat, magisterium) dobre polskie uczelnie uczą LEPIEJ, a w każdym razie nie gorzej niż najlepsze uczelnie zagraniczne. Dla ludzi wybitnych, powtarzam: WYBITNYCH, wyjazd na studia za granicę nie ma zatem większego sensu. Owszem, pozwala nawiązywać kontakty i znajomości, co później ułatwia życie. Ale dla ludzi naprawdę wybitnych najważniejsze jest zdobycie solidnej podstawowej wiedzy, która pozwoli im później rozwinąć skrzydła, a nie szukanie łatwych dróg.

Zbyteczne dodawać, że nie jestem wrogiem studiów za granicą. To może być dobre rozwiązanie dla ludzi słabo zmotywowanych do studiowania, bo istnieją na świecie uczelnie, które (za wysoką opłatą) lepiej opiekują się średniakami. Zapewne istnieją też dziedziny nauki, które w Polsce są tak słabe, że faktycznie nie można w nich zdobyć porządnego wykształcenia. Ale z wyjątkiem tych patologicznych przypadków, polskie uniwersytety umożliwiają zdobycie *solidnej* podstawowej wiedzy na poziomie, którego nie powstydzą się żadne uczelnie na świecie.

Stąd trawestacja znanego dwuwiersza Kazimierza Przerwy-Tetmajera w tytule tego felietonu.

ABBA

¹ Mogą być – rzecz jasna – również kłopoty. Znam autentyczną historię o ojcu, który oświadczył córce: Dobrze, sfinansuję ci studia w Oxfordzie, ale jeżeli wyjdiesz tam za obcokrajowca, będziesz musiała mi pieniądze zwrócić!